

Marek A. Cichocki: O Samuelu Zborowskim Rymkiewicza

Kwestia wieczności Polski wydaje mi się sprawą absolutnie fundamentalną z punktu widzenia naszej politycznej refleksji i to zapewne sprawia, że czytam książki Rymkiewicza z niesłabnącą fascynacją, bo – o ile mi wiadomo – nikt we współczesnej literaturze czy myśli polskiej tej sprawy wiecznej Polski tak jednoznacznie nie postawił i nikt też tak jednoznacznie za tym, że Polska jest wieczna się nie opowiedział – pisał Marek A. Cichocki.

Zgodnie z prawdą powinienem raczej napisać, że ten tekst traktuje o moich własnych, a więc osobistych powodach, dla których czytając książki Rymkiewicza, także tę ostatnią o Samuelu Zborowskim, odnajduję w nich refleksję o Polsce, która mnie samego bardzo pociąga i cieszy.

Zacząłbym jednak od tego, co mnie w książce o Samuelu nie pociąga, żeby potem lepiej wyjaśnić, co mnie zafascynowało i uradowało. Zupełnie nie zachwyca mnie 17 artykuł henrykowski (jestem o te trzydzieści lat młodszy, więc mnie w szkole uczono już o artykułach henrykowskich a nie henrycjańskich). W ogóle uważam, że ten wątek w książce o anarchicznej wolności jest mocno przereklamowany, zupełnie nietrafnie okrzyknięty jako główne przesłanie książki. Nie dlatego, by sam Rymkiewicz nie miał być do niego przywiązany, myślę, że jest nawet bardzo, ale zauważyłem, że w wielu komentarzach o książce

akurat sprawa anarchicznej (archaicznej?) wolności jest uczyniona centralną kwestią, tak jakby ów czekan Samuela, który roztrzaskał głowę kasztelana przemyskiego, miał się stać głównym rekwizytem polskiej polityczności w dziejach. 17 artykuł henrykowski i czekan Samuela kompletnie mnie nie pociągają, a to dlatego, że w książce Rymkiewicza jest zbyt dużo uwagi (i słusznie!) poświęconej językowi jako mierze politycznej i cywilizacyjnej wielkości Polski, (ba, jako polskiemu losowi!), i to na przykładzie najpiękniejszym, jaki można w mowie polskiej sobie wyobrazić, na przykładzie Kochanowskiego i jego dzbana do wina.

Mnie się po prostu zdaje, że z autorem różni nas podejście do polityczności, także tej polskiej, choć obaj mamy pewnie w równym stopniu uwewnętrzniony (w umyśle i działaniu) imperatyw wolności. A jednak tym się różnimy, że ja bym nie chciał, aby dzieci, np. moje dzieci, uczyły się w szkole na pamięć 17 artykułu, chociaż w pełni zgodziłbym się, że naszej tutejszej młodzieży przydałoby się znacznie mniej konformizmu a więcej starodawnego męstwa, tej wolnej dyspozycji do zmierzenia się z własnym losem, do wzięcia się z własnym losem za bary. Z tym 17 artykułem henrykowskim jest u mnie zresztą podobnie jak z czytaniem Nietzschego czy piciem mocnego wina. W ogóle nie zalecałbym tego ani młodym ani szczególnie dziatwie szkolnej, bo młodzi już tak mają od matki natury, że nalewają sobie od razu wszystko do ostatniej kropli, a potem piją do dna duszkiem, z czego biorą się same kłopoty. Tak więc nie jestem przeciwnikiem tych rzeczy (sam czasami po kryjomu podczytuję *Wolę mocy*), ale uważam że Nietzschego, artykuły henrykowskie, tak jak ciężkie wino, należy pić umiarkowanie, może nawet rozcieńczając wodą, tak jak to robili Grecy.

Tez mnie nie zachwyca to przeciwstawienie anarchii i tyranii, Samuela – Zamojskiego, chociaż nie będę się spierał z autorem o to, czy faktycznie Wielki Kanclerz był antypatycznym typem. Może i tak faktycznie było, a jego Zamość należy traktować nie jako cud urzeczywistnionego ideału, lecz po prostu jako dowód na potworne, tyrańskie skłonności; jako marzenie niedoszłego tyrana. Całkiem natomiast się jeżę na pomysł, aby to przeciwstawienie odnosić do obecnej naszej sytuacji. To inna sprawa, że pewnie powstałaby z tego piękna scena i ona autorowi (tego tekstu czy książki o Samuelu?) by się na pewno bardzo spodobała, gdyby wyobrazić sobie takie spotkanie na Wawelu między Kaczyńskim i Tuskiem. Swoją drogą to piękne, że Wawel przestał być dla nas szacowną historyczną trupiarnią, a stał się znów miejscem „żywym”, żywiołowym, i może to jest jedyne piękne, co nam się przydarzyło w 2010 roku jako Polakom. A więc wracając do sceny hipotetycznego spotkania Tuska i Kaczyńskiego na Wawelu. Tusk wychodzi z kościoła (co mi się wydaje jakoś paradoksalne, ale czemu nie), kiedy właśnie prowadzą Kaczyńskiego w wiadomym celu czarni, węgierscy hajducy i Tusk krzyczy: Panie Lechu, postój proszę cię, Odpuść mi! – na co Lech odpowiada: nie odpuszczę, już to wiedz!. Na Pana Boga mi odpuść! – krzyczy znów Donald. Tuś mi zagadł! – znów odpowiada Lech – Odpuszczam, ale się świadczę Panu Bogu, że ci nic nie winien. Za to powoływam cię przed Sąd Boży z sobą! - I na to Tusk się łapie za głowę, albo jeszcze lepiej, zalewa się łzami.

Mnie się taka scena wydaje piękna (Tusk z Kaczyńskim na Sądzie Bożym), ale też jakoś w swej dosłowności zbyt ordynarna. Odrzucam więc ten piękny obraz wawelski hipotetycznego spotkania jako piękny i całkiem nietrafiony, choć rozumiem, że czytając Rymkiewicza takie analogie same się narzucają. No bo, czy w książce nie pojawia się natrętnie wątek zasmolowanej trumny Zborowskiego, który dla

każdego, kto świadomie przeżył rok 2010 musi od razu kojarzyć się ze zaspawanymi trumnami spod Smoleńska? Nic to, odrzucam te wszystkie analogie precz, do kosza, w przekonaniu, że mamy w ostatnim czasie wielką skłonność do zamykania się w historycznych analogiach, które nas potem same więżą i decydują za nas, co wydaje nam się w polityce możliwe, a co zupełnie wykluczone. Dlatego odrzucam je precz i przechodzę do tego, co mnie w książce Rymkiewicza zachwyciło i ucieszyło.

Tak więc zachwycił mnie główny temat tej książki, a nie jest w nim wcale moim zdaniem pochwała anarchicznej wolności szlacheckiej, ale problem śmierci i polityki. Czy zwróciliście uwagę, że w książce Rymkiewicza ciągle ktoś umiera, nie tylko jest to Samuel. Samuel umiera jakby przy okazji. Przede wszystkim umiera Stefan Batory (otruty czy nie otruty?), umiera Zygmunt August (w objęciach kochanicy-czarownicy), umiera Mikołaj Radziwiłł Czarny (nagusieńki i wysmarowany srebrem) - umierają długo i efektownie, z niezliczoną liczbą podanych przez autora szczegółów, a każda ta śmierć jest wielka, królewska lub magnacka, pełna jęku odchodzącej w niebyt politycznej mocy, ale i ludzkiej małości, żeby nie powiedzieć śmieszności. Jest to śmierć w majestacie polityki oraz życia i polityka oraz życie w majestacie śmierci. Czy pamiętacie jeszcze fragment o trzydziestu kilku trumnach Zygmunta Augusta! To tak, jakby sposób pochowania ostatniego Jagiellona miał odpędzić definitywną naturę śmierci. Ale to nie wszystko, w książce umierają pospolici przestępcy, czarownice, niewinni pechowcy – zwykle w straszliwych, przemyślnych męczarniach. Umierają także rodziny, całe wsie – od morowego powietrza. To nie jest już śmierć królewska, raczej masowa i pospolita. Ale co zwraca uwagę, bardzo jej w tej książce dużo. Wszystko to jest zaś zwieńczone tekstem, który uważam za arcydzieło, tekstem o śmierci i Heraklicie, o granicy... nie, o zadziwiających i niepokojących związkach

między życiem, Tanatosem i Morfeuszem. Ten przejmujący tekst śmiało można by postawić w jednym rzędzie z najlepszymi tekstami Herberta (tak uważam i już).

Niech sobie krytycy Rymkiewicza piszą, że ta obsesyjna obecność śmierci w jego książce to dowód, na masochistyczne nurzanie się autora w polskim Tanatosie! Ich problem, że nic nie rozumieją. Obecność śmierci i polityki w twórczości Rymkiewicza nie jest przecież żadnym przypadkiem. Spójrzcie na to: Jest w książce o Samuelu bardzo ciekawie rozbudowana sprawa, która mnie osobiście zajmuje, sprawa Wiecznej Polski. Jak najbardziej ma ona wiele wspólnego z wcześniejszą kwestią śmierci i polityki, ponieważ w książce Rymkiewicza, w której jak daje się zauważyć, ciągle ktoś umiera, gdzie „mrze barzo”, gdzie Polacy „namierają się barzo”, a więc do woli, jedynie Polska uzyskuje status nieśmiertelności. Dla ścisłości trzeba pewnie dodać, że kiedy autor mówi o wiecznej Polsce, to ma na myśli naród polski, Polaków, jako gatunek (oczywiście gatunek polityczny), który się na-rodził kiedyś i który w ten sposób uzyskał zdolność autonomicznego, wiecznego trwania. A jeszcze dokładniej, jak mi się zdaje, ma on na myśli np. tych konkretnych Polaków, którzy codziennie chodzą na zakupy na targ w Milanówku i dla których pytanie, czy Polska istnieje, musi się wydawać absurdalne, bo ona istnieje *per se*, istnieje tak jak istnieje Słońce, Ziemia oraz wszelkie inne oczywistości.

Kwestia wieczności Polski wydaje mi się sprawą absolutnie fundamentalną z punktu widzenia naszej politycznej refleksji i to zapewne sprawia, że czytam książki Rymkiewicza z niesłabnącą fascynacją, bo – o ile mi wiadomo – nikt we współczesnej literaturze czy myśli polskiej tej sprawy wiecznej Polski tak jednoznacznie nie postawił i nikt też tak jednoznacznie za tym, że Polska jest wieczna się

nie opowiedział. Już widzę te głupie uśmieszki i wzruszenie ramion: wieczna Polska! Jaka głupota, jaka megalomania, jakie oderwanie od rzeczywistości! Nie ma metafizyki państwa czy narodu! Takie zabawy już kiedyś były i wiadomo do jakich strasznych rzeczy doprowadziły!

Ja tych głupawych uśmieszków i wzruszeń ramionami w Polsce nigdy nie rozumiałem, i nie tylko dlatego, że ich nie widzę np. we Francji, kiedy prezydent francuski w swych przemówieniach mówi o *La France eternelle*, ale przede wszystkim, bo dla mnie z punktu widzenia teologii politycznej i filozofii politycznej nie ma bardziej kluczowego problemu do rozważenia. Dlatego kiedy w książce o Samuelu czytam stanowczą deklarację Rymkiewicza, że Polska jest wieczna, to jest mi nie tylko miło, bo słyszę w tym echo dawnej rozmowy, która wspólnie z Karłowiczem i Gawinem mogłem kiedyś przeprowadzić z autorem w Milanówku (odsyłam do piątego numeru Teologii Politycznej), ale przede wszystkim nadstawiam uszu, bo wiem, że to sama istota problemu.

W Polsce „mrze barzo”, po królewsku z trzydziestoma kilkoma trumnami lub nie po królewsku, w zagajnikach, piwnicach lub rowach, ale Polska jest wieczna. Co to właściwie znaczy? No i czy to jest prawda? Powiem zwięźle: myślę, że Rymkiewicz jest wielkim zwolennikiem tezy o kontyngencji bytów (nie jest tu miejsce, aby to dokładniej wyjaśniać, jak ktoś chce, proszę sięgnąć do odpowiednich książek), z czego wynika sposób całego jego opisywania rzeczywistości – tą kontyngentnością przepojone jest całe jego pisarstwo. Ale to nie wszystko, bo to przywiązanie do kontyngentności świata nie prowadzi go tam, gdzie zaprowadziło współczesną lewicową filozofię, Rorty’ego i wszystkich jego pociotków, a więc do przekonania, że jest tylko gra, dystans, ironia. Stąd to wielkie przywiązanie do kwestii śmierci, do

tego, że „mrze barzo”, również do woli i jej sprawczych mocy, wreszcie do niezachwianego przekonania o wiecznej Polsce. Zamiast ironii jest powaga politycznej rzeczywistości, zamiast dystansu rozwarta przed nami paszcza niebytu, zamiast gry rozpaczliwe dążenie woli do urzeczywistnienia się, by przewyciężyć niebyt.

Ja oczywiście nie będę ukrywał, że mam z tym sposobem patrzenia na wieczną Polskę Rymkiewicza problem, bo on się nijak nie mieści w perspektywie chrześcijańskiego rozumienia kontyngentności, nieśmiertelności czy wieczności. Jest między nami wielkie, bardzo wielka różnica, choć rozumiem, że dla posiadaczy głupkowatych uśmieszków ta różnica jest nieistotnym drobiazgiem.

Jest w książce o Samuelu jeszcze jeden ciekawy wątek, który bardzo mnie ucieszył, bo mnie samego męczy on już od długiego czasu – wątek ekspansji, a raczej jej kierunku. Mi się w pamięci w tym kontekście kołacze zdanie Gombrowicza z *Dzienników*, iż Polakom, kiedy zwracają się na Zachód twarz pochmurnieje, napina się, burmuszeje, nabzdycza się jakimiś pretensjami; wystarczy jednak, że zwrócą się na Wschód, aby ta sama twarz wypogodniała, nabrała wyrazu pewności, nawet jakiegoś rodzaju promienności. To spostrzeżenie wydaje mi się bardzo trafne, a do tego korespondujące z problemem ekspansji, a raczej jej kierunku, u Rymkiewicza.

To trudny do przeoczenia fakt: pewniej czujemy się na Ukrainie, w Gruzji, Mołdawii niż w Niemczech czy we Francji. Tam na Wschodzie mamy wobec siebie wysokie oczekiwania, wymagamy respektu, nie stronimy czasami od kolonialnej wyższości czy nawet lekkiej pogardy. Na Zachodzie nasze kolana miękną, tracimy rezon, łatwo godzimy się z

tym, że nic nam się praktycznie tam nie należy, że każdy ochłap, każde życzliwsze skinienie ręką czy drobna aprobata jest dla nas ogromnym wyróżnieniem. Na Wschodzie jest więc w nas o wiele więcej z Pana, na Zachodzie więcej w nas jest Niewolnika. Kiedy jesteśmy naprawdę sobą?

Są to postawy i zachowania głęboko zakorzenione w naszej mentalności, zapewne jako efekt nawarstwiania się wielowiekowych doświadczeń. Nie sposób tutaj tego ostatecznie rozstrzygnąć. Uznajmy jednak, że jest to różnica konstytutywna dla naszego obecnego myślenia o otaczającym nas, bliskim świecie, która swoje historyczne źródło ma właśnie gdzieś w owym kierunku ekspansji z XV i XVI wieku.

Nasz stosunek do kontynentalnej zachodniej Europy jest na pewno czymś szalenie złożonym, ale jeśli przeniesiemy je na grunt politycznego doświadczenia, da się ono chyba sprowadzić do przekonania, że w tej relacji Polska ma zdefiniowane na stałe miejsce prowincji lub peryferii. Wszystkie istotne impulsy integracyjne w historii Europy, próby imperialnego uporządkowania naszego kontynentu, czy to na osi napięcia między Wschodem i Zachodem, Północą czy Południem, pozostawiały Polskę zawsze na obrzeżach systemu. W tym się zawiera dylemat każdej, zorientowanej okcydentalnie polskiej polityki. Możemy osiągnąć upragniony cel europeizacji i okcydentalizacji, przynależności do kontynentalnego, zachodniego porządku politycznego, ale wyłącznie jako graniczna prowincja. To dla tego każdy projekt modernizacyjny Polski – od przyjęcia chrześcijaństwa w X wieku po koncepcję demokratycznego państwa narodowego na przełomie XIX i XX wieku - budowany na orientacji zachodniej podszyty był zawsze niepewnością, kompleksami, wreszcie owym naburmuszeniem, o którym pisze Gombrowicz. I

bądźmy sprawiedliwi, z punktu widzenia głównych procesów politycznych, którymi żyła kontynentalna zachodnia Europa Polska była faktycznie obszarem dość pobocznym, niezbyt istotnym, a to znaczy, że także obszarem mało zrozumiałym.

Jednak w naszej historii dzieje się w pewnym momencie coś zupełnie przełomowego i to właśnie opisuje Rymkiewicz w rozdziale o ekspansji. Pojawienie się tzw. „złotego wieku” w XV i XVI wieku muszą poprzedzać jakieś fundamentalne zmiany świadomościowe, na skalę dotąd nie spotykana. Przekonanie o skazaniu na bycie wieczną prowincją europejskiej całości, owego chrześcijańskiego imperium cesarza i papieża, przeobraża się w silną pewność własnej, wręcz imperialnej wielkości. Jest to jednak możliwe tylko przez odwrócenie twarzy na Wschód. Co tam zobaczyliśmy? Przestrzeń niezmierną, która stała się szansą wzbogacenia dla wszelkiego rodzaju młodych awanturników, synów zagrodowej, ubogiej szlachty? Gorsze od nas ludy, stojące na niższym poziomie kulturalnego rozwoju, wobec których mogliśmy błyszczeć naszą własną, odrodzoną przez renesans i klasyczne wzorce kulturą?

Trudno rozstrzygnąć. Jednak dla naszego pojmowania świata zrzucenie rycerskiej zbroi i założenie orientalnych żupanów oraz kontuszy stanowi jakiś mityczny przełom dla naszego myślenia. Jeszcze w XIV wieku Kazimierz święci triumf jako władca nowej regionalnej potęgi zachodniego świata, goszcząc w Krakowie cesarza i innych europejskich monarchów. Jeszcze na początku XV wieku polskie rycerstwo w średniowiecznym szyku ściera się z rycerstwem zakonu, a wykształceni podług bolońskiego i paryskiego wzorca prawnicy krakowscy negocjują

warunki układu z zakonem na dworze papieskim, będąc częścią tzw. nacji germańskiej. Ale już potem, potem wszystko rozpływa się w bezkresnym Wschodzie.

Na pewno wpływ na nasze myślenie o Zachodzie musiał mieć rozpad cesarskiego modelu, w którego orbicie znajdowaliśmy się od z górą pięciu wieków. Także kryzys papiestwa. Mogliśmy bez kompleksów wprost sięgnąć do źródła antycznej, południowej kultury, bezpośrednio do Plutarcha, Seneki i Cyncerona i odwróceniu plecami do dawnego cesarstwa pogrążonego coraz bardziej w zamęcie spojrzeć odważnie na Wschód. Nie musieliśmy już żyć w poczuciu nieprzezwyciężalnego prowincjonalizmu, po centrum, które określało tak nasze położenie rozpadło się. Mogliśmy stworzyć się od nowa, porzucić średniowieczny wzór lenna Zachodu, pogranicza, i zdefiniować naszą autonomiczność według klasycznego wzorca republikańskiego.

Rymkiewicz zauważa, że ten kierunek ekspansji sprzeczny był samej naturze rzeczy, które dzieją się jego zdaniem ze Wschodu na Zachód, a nie odwrotnie. I ja się w tym z nim zgadzam. Zgadzam się, że ta fascynacja przestrzenią na Wschodzie i odwrócenie się od Zachodu miało zupełnie kapitalne i fatalne znaczenie dla naszej późniejszej historii. „Rozłożyło” nas całkiem począwszy od XVII wieku, bo okazało się, że nie jesteśmy jednak w stanie tego Wschodu udźwignąć. Że on nas przerasta. Z perspektywy wieków da się chyba powiedzieć, że właśnie na Wschodzie przegraliśmy naszą wielkość, a na Zachodzie nie udało nam się wyrwać ze statusu prowincji.

Ja bym jednak tej w oczywisty sposób pesymistycznej konkluzji nie czynił teraz źródłem niekończących się frustracji, ale zastanawiał nad tym, jak w takich okolicznościach nasza wieczna Polska musi się na nowo wymyślić.

Marek A. Cichocki

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego